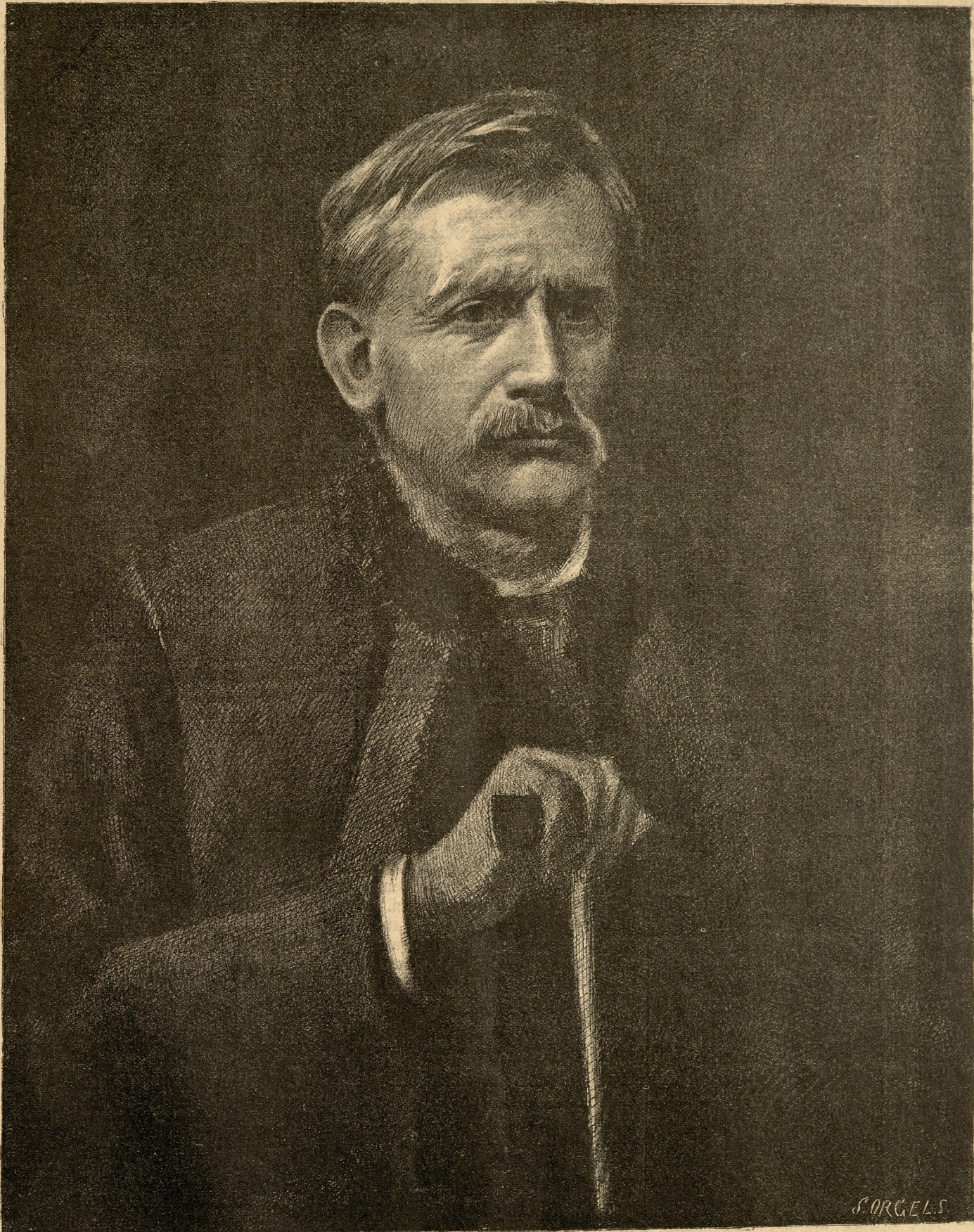




BIUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Dr Tytus Chałubiński.

Zmarł w dniu 4-ym Listopada r. b. w Zakopanem.

TYTUS CHAŁUBIŃSKI.

Chałubiński umarł...!

Francuzi nazywają profesorów wydziału lekarskiego, prowadzących kliniki „książętami nauki“. Zgasły przed kilku dniami Tytus Chałubiński, z pewnością zasługiwał na ten zaszczytny tytuł, panował bowiem nad nauką w całym znaczeniu tego słowa. Kto choć w przybliżeniu wie, jak skomplikowanym jest organizm człowieka, jak trudno zajrzeć do jego wnętrza, do którego otwierają drogę objawy tak nieraz subtelne, że je raczej odgadujemy, niż pochwycić zmysłami, potrzeba; kto miał sposobność widzieć jak nieraz całe gremia lekarskie znajdują się w kłopotliwym położeniu, i, wyznajmy, mylą się często,—ten łatwo pojmie, jak wielkie trudności pokonywać należy przy stawianiu *diagnozy* t. j. rozpoznawaniu choroby.

Dla Chałubińskiego, skutkiem kolosalnej nauki, jaką posiadał, bystrości w obserwacji a przytem wrodzonej genialności, każdy wypadek był jasnym. To też można śmiało powiedzieć, że Chałubiński był genialnym lekarzem.

Nie dosyć na tem: Chałubiński był genialnym pedagogiem. Często bardzo równie trudno jest przekonać swych słuchaczy o prawdzie znalezionej diagnozy, jak ją odszukać. Dla Chałubińskiego podobne trudności nie istniały. Gdy znalazł, a znajdował zawsze, umiał także zawsze przekonać swych słuchaczy. Każdy uwierzył, bo uwierzyć musiał, a fakta t. j. dalszy przebieg choroby lub dokonywane autopsye na zmarłych potwierdzały trafność diagnozy Chałubińskiego, nawet tam, gdzie całe gremia były innego zdania.

Owe przymioty rozumu i wrodzone dary natury wraz z nabytem doświadczeniem i długoletnią pracą zjednały Chałubińskiemu kolosalną praktykę między publicznością, a nieograniczoną wiarę i powagę u wszystkich lekarzy tutejszych. Sława Chałubińskiego sięgała jednakże daleko poza granice kraju rodzinnego. Z ust znakomitości lekarskich zagranicą niejeden z chorych rodaków naszych usłyszał słowa: „Jeżeli Chałubiński nie pomógł, cóż my pomódz możemy?“

W początkach zawodu naukowego poświęcał się nieboszczyk badaniom nad historią naturalną, specjalnie zaś oddał się botanice. Dla umysłu jednakże tak potężnego nie wystarczało badanie organizmów roślinnych: potrzebował obszerniejszej dla siebie widowni. Wkrótce też rozpoczął badanie nad najbardziej skomplikowaną machiną na świecie—nad człowiekiem. Dla Chałubińskiego, który się nauczył patrzeć na różne przepiękne twory natury, który zbadał ich rozwój, zmiany anormalne i koniecznie, jaki spotkać musi każdą istotę żyjącą, człowiek był jednym z tworów, który on pod względem fizycznym zbadał dokładnie o ile na to pozwalają zmysły ludzkie i stan dzisiejszej nauki. W tym kierunku zaszedł na najwyższe stanowisko, jakiego lekarz osiągnąć może. W r. 1859 w Akademii Medycznej otrzymał katedrę kliniki terapeutycznej i na katedrze tej po reorganizacji przeszedł do Szkoły Głównej. Wykłady jego odznaczały się wszystkimi zaletami pedagogicznymi i erudycyjnymi. Katedra profesora kliniki jest bezwarunkowo najmoźolniejszą, a to dla tego, gdy wszyscy inni wykładający przychodzą do audytoryum przygotowani, t. j. wiedzą przedtem o czem mówić wypadnie, profesor kliniki prowadzi wykład *ex abrupto* nad wypadkiem choroby, jaki się nadarzy w danej chwili.

Otóż tu mieści się świetna działalność zgasłego profesora. Trzeba było patrzeć i słuchać, z jaką łatwością i nieomylnością pokonywał trudności diagnostyczne, jak trafnie zalecał środki lekarskie, a co najważniejsza, jak umiał zawsze wymotyrować swe poglądy i przekonać swych słuchaczy. To też sale szpitalne, w których Chałubiński prowadził swą klinicę, były zawsze przepelnione studentami, lekarzami i... chorymi.

Wiadomą jest rzeczą jaki wstręt żywi nasza klasa uboższa do szpitali; lecz dostać się na klini-

kę Chałubińskiego było dla chorego celem jego marzeń. Cisnęli się też na nią i ludzie zamożniejsi byle tylko być leczonemi przez wielkiego lekarza.

Poza szpitalem czekała go ciężka praktyka prywatna. Powiadamy „ciężka“, gdyż Chałubiński będąc po największej części wzywany na konsultacje dołoża niebezpiecznie chorych, przy których już kilku lekarzy ordynowało, nie mógł i nie chciał nigdy ograniczać się na gołosłownych zaleceniach środków lekarskich. Starał się zawsze kolegów swych przekonać o prawdzie powziętego przez siebie poglądu na chorobę, tak, że każde konsylium było dla niego niejako małą prelekcją o danym wypadku. Młodzi lekarze szczególnie ze zdumieniem jej słuchali. „Z nim konsultując, można się zawsze czegoś nauczyć“—rzekł raz do piszącego te słowa—lekarz praktykujący już od kilkudziesięciu lat, po odbytej konsultacji z Chałubińskim.

Są to wszystko ciche, nieprzekraczające sali szpitalnej lub pokoju pacjenta, ale kolosalne zdobyte i zasługi. Ciche też zadowolenie więcej dla Chałubińskiego znaczyło, niż rozgłośna sława. A czuł rzetelną dopiero rozkosz ze swego zawodu, kiedy mógł bezinteresowną poradą i słowem pociechy pośpieszyć do chorego studenta na poddasze, do biednej rodziny na Powiśle, lub cierpiącego kolegi. Od księży, artystów, nauczycieli, literatów nie przyjmował żadnego honorarium: wystarczało mu poczucie oddanej przysługi. Chałubiński przyjmował codziennie po kilkanaście osób i robił po kilka wizyt na mieście jedynie w celu ulżenia niedoli. Siły się wyczerpywały tą nadmierną pracą, tak, że przed dwoma już laty wsparty na ramieniu służącego jedną, a o kiju drugą ręką, zakończył swój tryumf lekarski i podążył do ukochanego Zakopanego, aby tam wzniosłego żywota dokonać.

Prawy charakter, wzniosły umysł, dobroczynne serce, genialne zdolności,—tem wszystkiem obdarzony był Chałubiński. Cała społeczność nasza korzystała z jego wiedzy i zdolności, jeżeli nie bezpośrednio to za pośrednictwem paru pokoleń dzielnych lekarzy, których on wykształcił, i dobroczynnych uczynków, któremi szafował.

Przyjrzyjmy się choć tylko pobieżnie jego pracowitemu życiu:

Chałubiński urodził się w roku 1820, we wsi Chociwku pod Rawą. Ukończywszy w Radomiu gymnazyum, wstąpił do akademii medyko-chirurgicznej w Wilnie, a po zwinięciu jej udał się do Dorpatu, gdzie w początkach poświęcał się studjom nad naukami przyrodniczymi, w roku 1843 został powtórnie studentem medycyny, stopień zaś doktora uzyskał w roku 1844 w Würzburgu, poczem na stałe osiedlił się w Warszawie i rozpoczął swą świetną i płodną działalność. Z początku ordynator, później naczelny lekarz Szpitala Ewangelickiego w Warszawie, sprawował ten urząd od roku 1847 do 1857. Szpital ten pod światłym kierunkiem Chałubińskiego stał się wkrótce pierwszą instytucją filantropijną w Warszawie, chorzy z całego kraju dążyli pod opiekuńcze skrzydła młodego uczonego. Od tego czasu datuje się świetna epoka w życiu Chałubińskiego i trwa niemal do samej śmierci t. j. przez lat czterdzieści.

W roku 1859 objął Chałubiński katedrę patologii i terapii, jednocześnie zaś prowadził klinicę chorób wewnętrznych w b. Akademii Medyko-Chirurgicznej, a następnie w szkole Głównej aż do jej zamknięcia.

Z prac piśmiennych, których, zarówno z działy historii naturalnej, jak i medycyny, stosunkowo do wyczerpujących zajęć profesora kliniki i pierwszego konsultanta w Warszawie, pozostała w spadku po nieodżałowanym profesorze znaczna ilość, w każdej z nich poznać można *ex ungue leonem*. Jego „Metoda wskazań“ stawioną być może za wzór racjonalnych spostrzeżeń i badań lekarskich.

Chałubiński, nietylko pracował nad dolą chorych; jakby w przeciwstawieniu do tego zajęcia, uczył, przed dawniejszym już czasem, potrzebę zajęcia się szczęściem ludzi zdrowych, co mu osładzało w chwilach wypoczynku nieprzyjemności związane z powołaniem lekarza.

Tam, na szczytach Tatr, —„dalej ludzi, bliżej Boga“—odziany w kurtkę huculską i wsparty na kiju góralskim, szerzył oświatę między ludem zdrowym cielesnie, lecz ubogim umysłowo. Tam nie oddychał powietrzem zepsutem sal szpitalnych, pokoiów mansardowych i budoarów przesiąkniętych kadzidłami, lecz czystem górskim aromatycznym powietrzem. Tam nie widział bladych twarzy, lecz rumiane i ogorzale. Tam nie słyszał jęków i narzekań, lecz świergot ptasząt i piosnkę góralską. Tam nie dotykał się skrzypiącego siennika lub koronkowej poduszki, przesiąkniętych miazmatami. Tam pod namiotem kładł się na murawie i, odpoczywając po mozolnej całorocznej pracy, dumal nad szczęściem swego ukochanego ludu tatrzańskiego i, o tyle, o ile mu tylko środki na to pozwoliły uszczęśliwiał go. Za inicjatywą Chałubińskiego, Zakopane dziś zmieniło się w pierwszorzędną stacją klimatyczną. Wskutek jego starań utworzono szkoły ludowe, rękodzielnicze i założono Muzeum Tatrzańskie, noszące jego imię. To też kochano go tam i czczono bez granic.

Letnie miesiące spędzał Chałubiński corocznie w Zakopanem, a przed dwoma laty, złamany pracą, nie mogąc nieść pomocy stukającej do wrót jego domu chorobie i niedoli, zamieszkał tam na stałe, i tam też w dniu 4 Listopada r. b. zgasł na zawsze dla nauki, cierpiących i nieszczęśliwych. Stosownie do życzenia nieboszczyka złożono jego zwłoki na wieczny spoczynek w Zakopanem, gdzie miał najmilszy swój na ziemi zakątek.

Już go nie ujrzymy, lecz pamięć o tym szlachetnym człowieku, genialnym lekarzu i prawdziwym filantropie nazawsze między nami pozostanie.

Dr. Józef Starkman.

Słoneczne strony życia.

(Dalszy ciąg.)

Umiejętność panowania nad sobą jest pierwszym i najważniejszym warunkiem szczęścia, bo bez tego zmarnować się muszą najbogatsze zasoby moralnego i materialnego mienia, które rozrzucimy niebacznie wśród porywów i uniesień, nietylko złych, ale nawet i dobrych. Rządzić sobą—jest godnością królewską, i wtedy człowiek staje się sam sobie monarchą, panem wielowładnym, wtedy szlachetne jego czyny mają wartość prawdziwą, bo są to już, nie owoce wrażeń i wzruszeń przelotnych, ale z bogactw ducha wydobyte skarby, dobra prawdziwe. Równowaga moralna może być jedynie zachowaną przy władaniu sobą takim i zasługą, przyznawaną cnocie, wtedy dopiero nam się należy. Przejmują nas uwielbieniem nieśmiertelne czyny bohaterów, bo widzimy w nich wielkie akta wzniosłości ducha; przecież każdy ma w życiu swoim pole do rozwinięcia władz takich—pole gdzie dla obowiązku: dla wiar i miłości swoich, ze złem się mociuje. Maraton to jest i Termopile każdego z nas—każdy też spotyka na drodze, którą iść musi, sfinxa, czekającego nań z zagadkami, mającymi rozstrzygnąć o życiu i śmierci. Każdy, jak Parys, może dać jabłko życia Junonie, Palladzie, lub Afrodycie.

Niema istnienia ludzkiego, któreby nie spotykało takich prób, nie miało danej sobie wolności pokierowania się naprawo lub nalewo po zwyciężeniu zapanowaniu nad okolicznościami życia i pożądaniami własnymi. Często przecież nie umiemy spojrzeć na to, co nas otacza, z właściwego punktu: widzimy stroną rzeczy materialną, nie myśląc o ich znaczeniu moralnym. Żona Seneki miała służebnicę, imieniem Harpastę, która, tracąc wzrok, utrzymywała, że to dom został zaciemniony, i większość ludzi ulega złudzeniom podobnym. Moralne kształty czynów naszych są

dla nas niedostrzegalne, bo wzrok ducha jest na tę stronę widzenia stępieniem. I nie akcja ostatnia, ale przygotowanie do niej stanowi, jak rozstrzygnięta być musi, i często walka jest już przegrana, zanim przyjdzie do jej stoczenia. Aby osiąść moc władania namiętnościami, trzeba wyrabiać ją w sobie codziennie przez ciągłą baczność na siebie.

— Małe rzeczy stanowią o wielkich — powtarza Lubbock. „Złe się ściana buduje, gdy przy wielkiem małego brakuje“ było przysłowiem greckiem, pochodzącem przypuszczalnie z epoki Cyklopów. Jest wśród starych przypowieści hindustańskich bań o ojcu, nauczającym syna, co to są przyczyny i skutki. Ojciec ten, nazwiskiem Ammi, poprowadził syna do ogrodu i kazał mu zerwać owoc ze wskazanego drzewa, przynieść go sobie i rozłupać nakoniec. — Co tam widzisz? — zapytał wtedy.

— Kilka małych pesteczek — odparł syn, a ojciec kazał mu rozbić jedną z nich i powtórzył pytanie: co tam widzisz?.. Nic, panie mój... rzekł chłopiec — żdźbło tylko jakieś... lecz stary potrząsnął głową. Jest tam drzewo potężne — rzekł. Niejednokrotnie tak bywa, że z małego zawiązku rodzą się ogrody. Niema rzeczy małych dla tego, kto umie myśleć i przewidywać, a są tylko drobne cząstki wielkich całości — są zarodki, z których się wykluwają, bo nie od razu wielkiem się nie rodzi, tak w świecie materii, jak i ducha.

Trzeba nam w życiu pilnować się przed drobnostkami, bo dlatego właśnie, że wielkimi nie są, trwogi w nas nie budzą. Nałogi nie są niczem więcej, tylko nawyknięciami, które stają się drugą naturą naszą i biada nam, gdy dopuścimy, aby złe przyzwyczajenia wyrosły ponad wolę, ponad rozum nasz. Stan taki uważa się już zwykle za nieuleczalny, i rzeczywiście nałóg jest tak trudnym do wyrwania z nas, jak roślina, której korzenie miały czas zapuścić się głęboko w ziemię. Można przecież walczyć z nawyknięciami tąsamą siłą, która im daje moc wytrwałości tak wielkiej, i autor stawia jako przykład Epikteta, który był z temperamentu złośnikiem gwałtownym, wyleczył się zaś z tej wielkiej wady przez wymożone na sobie przywyknienie do spokojnego przyjmowania wrażeń drażniących. Usiłował on powstrzymać się od wybuchów gniewnych, najpierw przez cały dzień jeden, potem przez dwa, przez trzy, a gdy ich tak do trzydziestu doliczył, przeszedł złożyć Bóstwu ofiarę dziękczynną, bo czuł się już na dobrej drodze zapanowania nad namiętnością, mogącą zniweczyć najlepsze chęci, zadać im klam najboleśniejszy. W ten-to sposób może człowiek zdobywać sobie ogromne skarby, może powoli i spokojnie pozbywać się ogromnych ciężarów, przyniatających mu ducha.

Lubbock w długim szeregu faktów, czerpanych z historii, dowodzi prawdy twierdzenia swego, jak edukacja dobrych nawyknień uszlachetnia człowieka i przechodzi drogą spadku przez pokolenia, gdy z drugiej strony człowiek dobry może się stać wolna złym, narażając się na zatracenie wstępu do złego, złego pogardy — narażając się na nawyknięcia, które osłabiają w nim siłę cnoty, zmniejszą odporność na złe.

Zmniejszony wstępu do złego może z czasem zaniknąć zupełnie, za czem następuje zawsze zmniejszone uwielbienie dobra, bo konieczny to i nieunikniony skutek przymierza, zawartego z tem, co niskie, co nędzne i splamione. Można by napisać cały traktat o niebezpieczeństwie obcowania z osobami niskiego poziomu moralnego, o potrzebie ostracyzmu towarzyskiego, któryby ludzi rozżatunkowywał i pod tym względem linią demarkacyjną między nimi przeprowadzał. Zdrowy sens moralny działa pod tym względem zawsze i wszędzie u osobistości czystych i szlachetnych: cofają się one niemal instynktownie przed dotknięciem ręki zbrudzonej. Stwierdzeniem prawdziwej godności człowieka jest towarzystwo, jakie sobie doбира. U nas przysłowie ostrzega, że „z kim kto przestaje, takim się staje“... Francuz zaś, ostrzeż i bezwzględnie biorąc, mówi: „Pokaż mi twych przyjaciół, a powiem ci kto jesteś“...

Lubbock nie dotknął tu tej strony rzeczy, a raczej, kreśląc prawa ogólne, nie podniósł tego szczegółu — nie przedstawił go uwadze czytelnika; każe się nam jednak użyć dobrego z przykładu ludzi cnotliwych. Książka jego nawet przedstawia tych przykładów więcej, niż rozumowań. Musi to czuć autor, że człowiek uczciwy, który spokojnie z nieuczciwym się brata, zatracił już o tyle zmysł moralny, że wstępu do złego, obrzydzenia złego nie czuje, co już jest rzeczą niebezpieczną, bo nie pozwala czuć i żywszej miłości dobra — zapala cnoty.

Emerson w dziele swoim: „Conduct of Life“ (Prowadzenie życia) umieścił poetyczną allegoryą o człowieku, który nie był nigdy samotnym i nie czuł się nigdy opuszczonym w życiu. Wichry i burze ziemskiego klimatu nieraz huczały nad jego domem i odrywały go od różnych towarzysów drogi życia; wiele też tracił, wiele drogocennych rzeczy gubił po drodze, ale w Olimpie bogi i boginie siedzieli pogodni i spokojni na swych tronach wyniosłych z koronami światłości u czoła, i tych znajdował tam zawsze, o każdej chwili tęsknoty, uczuwanej do nich. Przypomina się tu *Podział ziemi* Schillera; ale niemniej jest to wielka, że kto posiada w sercu swoim sanktuarium dobra i piękności czystej, nie będzie nigdy zupełnie samotnym i bez żadnej pociechy w życiu zostawionym. Lubbock powtarza za królem Alfredem angielskim, że „kto jest cnotliwy jest mądry; kto jest mądry jest dobry, a kto jest dobry jest i szczęśliwy.“ Marek Aureliusz dziwił się dla czego ludzie uciekają z miejsc ludnych nad brzegi morza, dlaczego szukają gór i lasów na budowanie tam pustelni, gdy człowiek może zawsze i wszędzie schronić się do przybytku ducha swego i tam używać doskonale czysty i wolności — doskonale niezawisłej swobody i szczęścia, obcując z myślą własną, byle czystą i niepoziomą, ze wspomnieniami rzeczy pięknych i szlachetnych. Jest też to jednym z wielkich, z zasadniczych warunków szczęścia, jeżeli człowiek nie ma poza sobą czynów nieuczciwych, jeżeli żadne wyrzuty sumienia nie przyjdą mu szarpać serca — jeżeli pamięć nie będzie go trąca obrazami złego, które popełnił.

Trzeba przecież, chcąc być szczęśliwym przez takie warunki szczęścia, pilnować myśli i wyobraźni swojej. Umysł złe się karmi, jeżeli przedstawiamy mu obrazy rzeczy i namiętności dzikich, używania nędznego. Wiedzie to do rozstroju, sprowadza to na nas gorączkę niezdrową i Ruskin porównywa umysł ludzki do wód jeziora, które gdy są spokojne, wtedy dopiero stają się czystymi. Wszystkie męty muszą opaść na dół, aby w przeczczu ich wygładzonym odbił się błękit nieba. Nie przychodzi to człowiekowi ani darmo, ani od razu: trzeba dla doskonałego spokoju umysłu równowagi ducha, trzeba dla uciszenia rozbujanych myśli uciszenia w nas namiętności; Ruskin też dodaje: — „Nie możemy umysłu naszego przepuścić przez jakiś filtr, który odda go od razu czystym, jak nie możemy nakazać mu spokoju, gdy się burzą fale myśli; ale możemy w czystości go chować, i musimy to czynić, jeżeli pragniemy mieć go takim. I moralista angielski dodaje: — „Nie ciskaj tam kamieni, jeżeli chcesz, aby był spokój.“

„Sokrates miał umysł czysty i spokojny, bo czcił bogi i był sprawiedliwy, nie ukrzywdził nigdy nikogo a służył zawsze radą dobrą tym, którzy go otaczali. Był tak wstrzeźmieliwy, że nie przeniósł nigdy rozkoszy nad cnotę, tyle mądry, że nigdy nie omylił się i nie wziął złego za dobre.“ Tak chwalił mistrza uczeń jego Xenofon; Lubbock, powtarzając to, dodaje, że taki oto stan ducha jest nagrodą, jest bogatą zapłatą spełnionego obowiązku — jest szczęściem obowiązku.

Do szczęścia, do dobra ludzi przykładą się w stopniu wysokim czytanie — książka. Lubbock poświęca temu przedmiotowi, cały rozdział pod tytułem: „Pieśń o książce“, zaczynając go od starej piosenki bezimiennego autora, którego by można nazwać bratem po duchu Kochanowskiego:

Wdzięczna książka i kątek zacieniony

We dworze, czy na dworze,
Gdzieby szeptał z listkiem listek zielony,
Przygrywał świeczk nieboże,
Gdziebym sobie ze swobodną ochotą
Siadł na to uctowanie....
Dobra książka droższą mi jest nad złoto,
Nie oddał bym jej za nie....

Wiek dziewiętnasty ma w tem największą swą zasługę, że czyni książkę przystępną dla wielkiej liczby ludzi — że to, co było niegdyś przywilejem wybranych, dziś może się dostawać każdemu. Ryszard de Bury, biskup Dyecezyi Durhamskiej, umieścił w książce, pisanej w 1344 roku, a drukowanej w 1473, pierwszy w literaturze angielskiej traktat o rozkoszy czytania i nazwał książkę mistrzami „którzy nauczają ludzi bez różgi i feruły“, którzy „nigdy nie śpią, nigdy nie przed tobą nie kryją, i nie tają tego, jeżeli się mylisz, nie wyszydzą cię, żeś jest ciemny.“ Miłość książki taką, jaką się koeha dobrych przyjaciół, czują wszyscy ludzie wyższego umysłu i zbierają, gromadzą książki, jak skarby, któremi też są one niewątpliwie. Petrarka nazywał książki przyjaciółmi i, jeżeli za przyjaciół uważamy tych, którzy mogą oświecić nasz umysł, wskazywać nam dobre drogi życia i stawić się zawsze na zawołanie nasze, gdy jesteśmy samotni lub smutni — gdy nam trzeba pociechy i zapomnienia trosk życia — to Petrarka miał najzupełniejszą rację za sobą. Książka uczy ludzi jak żyć — uczy ich jak umierać; otwiera nam horyzonty życia, które inaczej pozostałyby na zawsze zamkniętymi dla nas. Lubbock, wykazując te wszystkie zalety, dobroczynne wpływy książki, chce w czytelnikach swoich obudzić zamiłowanie, tak do czytania, jak i do zbierania książek, do tworzenia bibliotek, i dodaje: że owi „przyjaciele“ tak użyteczni, tak wiele dający życiu naszemu, potrzebują na pomieszczenie swoje tylko skromnego kącika, jaki znaleźć się może w najskromniejszym mieszkanku, a ku któremu dobrze jest zwrócić się w godzinach życia posępnych — w godzinach życia smutnych, gdy trzeba nam oderwać się myślą od okoliczności boleśnie przykrych, aby trochę odetchnąć, nabrać trochę siły do wzięcia na barki swoje ciężaru, który człowiek składa niejako, gdy książka przenosi go w świat inny, niż otoczenie, wśród którego jest nam ciasno i smutno — niewygodnie duszy i ciała.

Wszystko to, co Lubbock stawia tu jako apologią książki, jest największą prawdą i nie przesadzona ani na odrobinę najmniejszą. Potwierdzi to niewątpliwie każdy, kto się nad przedmiotem zastanowi zechce i może. Znam oświadczenie, znam bardzo, bardzo blisko ludzi, którzy bogdaj, czy nie całe życie ducha swego, nie całe skierowanie myśli a dalej życia, zawdzięczają bibliotece, która im otworzyła skarby swoich książek w tych czasach pierwszej młodości, co-to wyrokuję o skierowaniu się na prawo lub na lewo. Brak książki w tym czasie sprowadza rozmaite, a zawsze ujemne skutki dla umysłu, bo książka wyprowadza nas z zacienionego koła codziennego istnienia, a choć lekceważyć go można, bo to życie jest z jego najbliższymi nam sprawami, ale kto tu jedynie myślą przebywać będzie, kto tu myśl swoją zamknie i przykuje ją do codzienności, ten skarłowaci ją — zamknie w sferze ciasnej i samolubnie ograniczonej do naszych tylko spraw życia — pedrzednych. O książce i jej wpływach — jej oddziaływaniach na żywe życie, możnaby pisać tomy. Southey, szlachetny poeta angielski, pisze melancholijnie w jednej z pięknych swych poezji, że dni życia jego upływały mu w towarzystwie umarłych, ale niemniej zdobył sobie przez to moc uszczęśliwiającą istnienie jego między żywymi.

— Bo są to druchy, co nigdy nie zdradzą;
Co dzień wzywani — przychodzą i radzą...

To jest właśnie książek potęgą i siłą największą, to jest ich użytecznością ogromną, że przez nie możemy obcować z najwyższymi umysłami ludzi, jacy żyli na świecie, czerpać ze źródeł ich mądrości, poznać ich zapatrywania się na świat i ludzi. Są to zatem nietylko nauczyciele, ale, jak

się dobrze wyraził Southey — przyjaciele zawsze gotowi nam służyć. Herschel spotkał się w jednej z wiosek angielskich z widowiskiem, które nazwał zabawnym, ale które jest zarazem naucającym dla tego, kto chce zbadać wpływy i korzyści książki — dobroczynną potęgę czytania. Kowal miejscowy zdobył sobie jakimś przypadkiem powieść Richardsona: *Pamela, czyli cnota nagrodzona* i w letnie długie przedwieczera siadywał w kuźni swojej, czytając ją głośno licznym słuchaczom, których przybywało codzień więcej. Powieść jest długa, więc ciekawość ich nieprędko została zaspokojoną, co do rozgrywających się tu losów ludzkich; gdy przecież doczekano się ich rozstrzygnięcia, gdy bohater i bohaterka zostali szczęśliwie połączeni i życie ich otworzyło perspektywę błęgiego obok siebie istnienia, — słuchaczy przejęła radość tak wielka, że, jak na święto jakieś uroczyste, uderzyli we dzwony parafialnego kościoła.

Obchodzili przez to dzwonię, jakgdyby przy rzeczywistym ślubie dwojga kochających się ludzi, zaślubienie własne z mocą uszczęśliwiania się idealnego. Książka, która pozwoli nam korzystać z takich źródeł rozkoszy, dostępnych dla każdego, jest dobroczynną dla nas rzeczą i z tego względu ma rację istnienia cześć oddawana pisarzom umiejącym tak działać na ludzi — pisarzom zdolnym zachwyć, unieść poza rzeczywistość i dać nam chwile wzruszeń, chwile rozkoszy najdoskonalszych, bo niezmięszanych z żadnymi zawodami, którym podlega wszystko, co się na tle rzeczywistości rozgrywa.

Pomyślmy: ile to godzin takiego idealnego uszczęśliwienia dał nam, na przykład, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Kraszewski, Żmichowska, obecnie Sienkiewicz, Orzeszkowa w powieści swojej: *Nad Niemnem*, i gdy obliczymy to sobie, gdy zbierzemy razem i przedstawimy przed umysł to, cośmy im winni, już nie jako nauczycielom ludzkości, ale jako uszczęśliwiający nas wpływom, — przystaniemy na to, że nie jest paradoxem postawienie książki między żywioły uszczęśliwiającej. Książka daje nam zażywać najszlachetniejszych uciech przy najmniejszym na to wydatku sił; jak mytologiczny Ganimed zostajemy porwani przez orły natchnionych duchów i trzeba tylko pozwolić, aby się to stało, a zaznamy rozkoszy, które nie przemną dla nas bez śladu.

Wszystko, co wzrusza, czy wyobraźnią, czy umysł lub uczucie, ślad po sobie zostawiać musi — odeisk tych wzruszeń na moralnej istocie naszej wytłoczony. Jeżeli jedne książki wywołują drganie strun uczucia, uczuć wyrobienie, inne — literatura naukowa działa na wykształcenie przekonań, poglądów naszych na życie i śmierć. I to jest punkt ciężkości czytania: tu są jego korzyści i niebezpieczeństwa, dla których Lubbock poświęca następny rozdział wyborowi książki.

(Dokończenie nastąpi).

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywośód — Kępieński.

(Dalszy ciąg).

— Wiesz co, mój Marku, żeś głupi, choć stary. Co tu długo gadać? Daj mi Jadwisie, a będziesz widział jak ci się odmieni.

— Wziąłbyś ją do siebie? — zawołał starosta.

— A to mi pytanie! Zrobisz nam i Marysi największą przyjemność. Jerzy teraz w Dreźnie, Marysi się przykrzy: szczęśliwą będzie, mając przyjaciółkę. Odwieź ją tylko do Dzikowca i już się więcej nie frasuj, bo choćbyś z sędzianką za

dziewczęciem tęsknił, to przecież do nas droga nie daleka.

Tak się i stało: po sprawieniu wyprawy we dwa tygodnie była Dzierżkówna przyjaciółką od serca Marysi, a w niedługim czasie, chociaż jej nie dorównała naukami i wykształceniem w językach, przecież nauczyła się wiele, a obdarzona niepospolitym sprytem i urodą, czarowała wszystkich oglądą i wdziękiem. Tymczasem w okolicach Dzikowca poczęła się coraz bardziej srożyć zawierucha: pułkownik oczekiwał lada dzień rozkazu od głównej komendy, by w pole wyruszyć, pułkownikowa wybierała się do Sorau na Szląsku, że zaś droga to daleka i czasu wojny bardzo niebezpieczna, uradzono więc, aby obie panny odwieźć do Staniątek, gdzie była przeoryszą dawna znajoma Góreckich, panna Polanowska. Ale rozkaz od pana łowczego jakoś nie nadchodził, a w kraju się szerzył coraz większy rozruch, trzeba więc było jak najspieszniej obmyślić dla kobiet środki bezpieczeństwa. Tym końcem, zniósł się pułkownik z generałem gwardyi konnej koronnej Chrystyanem Lettowem, stojącym w Tarnowie na czele dragonii, i ten zobowiązał się panie dzikowieckie wziąć pod swą opiekę, byle jej odstawiono do miejsca komendy. W Tarnowie pożegnała Górecka Marysię i jej przyjaciółkę, udając się do Sierosławic, gdzie mieszkali krewni męża, pułkownikostwo Ludwikowie Kępieńscy, z którymi miała wyjechać do Sorau⁸⁾ panny zaś pod opieką generała jadąc, zmierzały ku Staniątkom, aby w murach klasztornych zażywać spokoju. Z poprzedniego wiemy, dlaczego generał Lettow nie mógł uścić się w słowie i dlaczego nasze przyjaciółki, zamiast pod skrzydłami klasztornej pani Polanowskiej, bawiły w Zborzycach od kilku tygodni, który to pobyt miał mieć na ich życie przeważny wpływ.

Szczęk oręza, który tak strasznie przeraził Drużbica, doszedł i uszu panienek, siedzących w alkowie: Marysia była jakaś rozmarzona, smutna, starościanka — szczęśliwa z ostatnich wynurzeń. Pułkownikowa zajęta była gdzieś przy gospodarstwie, pułkownik w Staniątkach, dokąd od jakiegoś czasu coraz częściej jeździł. Na odgłos szczęk oręza i tętentu koni, nie wiedząc co robić, przerażone panny, wysłały pajuka po starego Ratułta, aby przyjął gości. Niedługo, przez nieprzebite ciemności dojrzały światło latarki a echo żwawej rozmowy doszło je z podwórca.

— Ależ, panie wachmistrzu, niema pana domu — krzyczał podstarościec.

— To mi wszystko jedno — mówił głos chrapliwy — stanie się podług rozkazu pana generała. Ty, staruchu, pomyśl o ludziach i koniach, a mnie daj kwatery na noc, bo z panem pułkownikiem rozmówić się muszę.

Tętent kopyt końskich, szczęk ostróg i szabel rozległ się w podwórzu: zbrojni ludzie prowadzący konie poruszali się i nikli w otchłaniach ciemności, niby tajemnicze cienie przy błyskach latarki.

Wylękniona pułkownikowa wybiegła na ganek, chcąc się dowiedzieć, co to wszystko znaczy, ale stary Ratułt, zajęty pomieszczeniem jeźdźców, nie zjawił się zaraz. W godzinę ledwie nadbiegł do pułkownikowej, jakiś pomieszany, błądy, a na twarzy, pomarszczonej jak zmarznięte jabłko, znać było wyraz niepokoju i złowrogich przeczuć.

— Cóż to za ludzie? czy swoi, czy obcy? — pytała strwożona pani Róża.

— Dyabeł ich wie, z przeproszeniem jaśnie wielmożnej pani — jużcić nby to swoi, bo gwardyacy z komendy generała Jordana, ale skarż mię Boże, że się tu coś niedobrego święci.

— A toż czemu? gadaj Waść prędzej, mój panie Jakubie.

— Kiedy bo niema i co gadać, bo ten stary wyga nic powiedzieć nie chce, ale sam się pyta, to tędy to owędy tropi i z mańki zachodzi, czy pan pułkownik często gdzie wyjeżdża, jilu w domu ludzi,

8) Sorau i Pless — (Żórawa i Pszczyna) na Szląsku były miejscem schronienia dla „dyssydentów“ zamożniejszych, którzy nie chcieli ręki do bratobójczej wojny przykładać. — Patrz autobiografią generała Henryka Dąbrowskiego. Wydanie Raczyńskiego Poznań 1837 r.

ile koni swoich ile obcych, co mamy tutaj za chorych; że trzeba do nas doktorów sprowadzać, gdzie oni leżą, a wreszcie: czy są u państwa jakie panny obce?...

— I cóżes powiedział, mój panie Jakubie?

— Ho, ho, nie starego wróbla ułapić na plewy. Powiedziałem, że pan Podstolic spadł z konia i poranił głowę i dlatego trzeba było sprowadzać felczera, że już zdrowszy i doktor nie jeździ, bo innych chorych zupełnie tu niema, że są i panny, które nam przystawił poręcznik Dębicki, a zaś co do pana pułkownika, to mnie nie do tego, bo jeździ, gdzie chce i kiedy mu potrzeba a nie mnie, słudze, wglądać w pańskie interesa.

— To i dobrze, żeś się szerzej nie rozgadał, mój panie Jakubie, bo-to w tych czasach ostrożnym być trzeba. Pomyśl — że tymczasem o jakiej wieczery, a później wyjdź z latarką naprzeciw pana pułkownika i powiedz mu wszystko. Nie szkodzi, że się go uwiadomi wcześniej, jakich tu ma gości.

Aczkolwiek przybycie gwardyaków zaniepokoiło Ratułka, na Wielowiejskiej nie zrobiło wielkiego wrażenia. Widziała ona tem rzecz bardzo naturalną, że czasu wojny wojska przechodzą i że zajmują potrzebne kwatery, znając zaś starego i podejrzanego sługę, że z przywiązania do państwa wszędzie wietrzył zdradę, oczekiwała przybycia męża zupełnie spokojnie. Późno już było, kiedy nadjechał pułkownik i zaraz polecił zawezwać dowódcę oddziału. Po zwykłym raporcie o sile ludzi i koni, który złożył wachmistrz, odebrał pisma i począł je czytać. Było ich dwa: jedno od generała Chrystyana Lettowa, drugie od generała Jordana. Pierwszy zawiadomiał Wielowiejskiego, że wezwany do króla wyjeżdża zaraz do Warszawy i zostawia oddane mu pupilki pod opieką Jordana, prosząc zarazem pułkownika aby je zechciał do Krakowa natychmiast odesłać, gdyż dochodzą wieści, jako w okolicy Wieliczki poczynają się coraz gęściej uwijać kupy zbrojnych ludzi, które nietylko zagrażają dworom okolicznym, ale pładrują nawet w pobliżu Krakowa.

„*Ut fertur* — pisał generał — to pan Dzierżanowski jest *fomentum mali*; inne relacye mówią, że zgrają maruderów włóczy się za rabunkiem, napadając domy spokojnych poddanych Najjaśniejszego szczęśliwie panującego Monarchy“⁹⁾. Do listu Lettowa załączał generał Jordan uprzejmy bilet od siebie, w którym, potwierdzając wieści w poprzednim liście pisane, donosił, jako na rozkazy pułkownika wysłał eskortę w boju doświadczonych ludzi, prosząc o największy pospiech w dostawieniu panien, potrzebuje bowiem wyslanego oddziału, gdyż zbiera rozproszone komendy, aby okolice Krakowa od zgrai oczyścić. — „Zresztą — pisał Jordan, który był osobistym przyjacielem pułkownika — zechcesz uwzględnić, Mości adjutancie, że tu i dla Was *periculum in mora*; dosiadywać nie radzę; przedczasem szukajcie ratunku. Ja za *securitas* nie ręczę i ręczyć nie mogę, bo *ultra posse nemo obligatur*“¹⁰⁾.

Odesławszy wachmistrza z rozkazem, aby wczesnym rankiem stanął w pogotowiu, przechodził się Wielowiejski w głębokiej zadumie. Listy obu generałów nie przyniosły nic nowego, pułkownik wiedział o oddziałach związkowych, działających w okolicach Sącza i Myślenic, słyszał, że obce wojska przeszły ku Dobczycem, a częste luny jakie nieraz wieczorem lub nocą krwawiły niebios, świadczyły wymownie o strasznych zajściach w tamtej okolicy. Sądził jednakowoż, że widownia walki prędzej się posunie ku granicom Węgier, ku Muszynie, Piwnicznej lub ku Krościenku, gdzie się rozłożyły liczne oddziały związkowych, aniżeli zajmie obszar kraju w podłuż Wistły, gdzie silnie obsadzony Kraków, liczne komendy gwardyaków w Igołomi, Niepołomicach, Ujściu i Stopnicy, a wreszcie i teren bardziej odslonięty, płaski, nie sprzyjały bynajmniej podjazdowej wojnie. Wczoraj dopiero dowiedział się o panu Dzierżanowskim, który, niby piorun, spadł

9) Autentyczne, w rękopiśmie u autora.

10) Autentyczne, w rękopiśmie u autora.

na saliny w Wieliczce, solne składy zabrał i rozprzedał a, narobiwszy regalom strachu niemało, jak przyszedł niespodziewanie, tak i znikł bez wieści; mniemał jednak pułkownik, że to wyjątkowe zajście było wynikiem niesłychanej brawury ex-królika Indyi, tymczasem listy Lettowa i Jordana świadczyły najlepiej, że operacje wojenne przenoszą się teraz w okolicę Zborczyc. — Bądź jak bądź, trzeba było korzystać z otrzymanych przestróg i zabezpieczyć kobiety na wszelki wypadek.

Stryjecki pułkownik, Józef z Wielkiej Wsi Wielowiejski, starosta rządowski i jego rodzona pani Paulina Radziwińska, posiadali kamienicę przy krakowskim rynku, ¹¹⁾ w której pułkownik miał dla siebie mieszkanie. Postanowiwszy więc Jordaniowi oddać pod opiekę panny, a żonę umieścić razem z Radziwińską, myślał sam wrócić do Zborczyc, nie chciał bowiem zupełnie osieroczyć domu ani opuszczać Družbica, Malczewskiego, Czarneckiego, Zbrozka i innych rannych, którzy jeszcze potrzebowali wywczasu albo, co gorsza, kuracyi.

Jako adjutant króla Jegomości, czuł się Wielowiejski bezpiecznym od najścia Regalów albo alliantów, co zaś do związkowych, że mu nie byli tak straszni, to najpierw, za dużo w ich szeregach mógł liczyć przyjaciół, powtóre, konfederaci nie napadali tak bardzo na domy obywateli spokojnych i tylko pojedyncze zdarzały się fakta sa. nowoli lub prywatnej zemsty. Tak obmyśliwszy wszystko, szybki w decyzji, pułkownik zawołał Ratuła i nakazał, aby sześciokonna landara i trzy drabiniaste wozy gotowe były na jutrzejszy ranek, wyszedł do dalszych pokoi, aby uprzedzić żonę i panią o swoich zamiarach. Siedziały wszystkie przy wieczerzy, z wyrazem oczekiwania na poblądłych twarzach.

— Muszę Asindźkom powiedzieć nowinę — rzekł po powitaniu Wielowiejski — nie wiem: czy ona bardzo je ucieszy, czy, przeciwnie, zmartwi.....

— A cóż to takiego? — wtrąciła niecierpliwie gospodyni demu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w końcu Października.

Czy wolno powracającym z letnich wakacji korespondentom, zamiast od razu śłać wam miejscową kronikę bieżących zdarzeń i wrażeń, przesłać nasamprzód odgłosy z minionych dni wczasu i wytehnienia? Echa takie, rozpierzchnęte a skupiające się z różnych stron u jednego redakcyjnego ogniska, ostatecznie splotłyby się w różnorodną równiankę, nieraz ciekawszą od potocznych wiadomości.

Próbując w tym kierunku szczęścia, a raczej pobłażania, czytelników, gotów jestem szeregiem zimowych listów rozpocząć zdala od poznańskiego bruku, przenosząc je aż ku czarującym wodom i ustroniom leśnym, gdzie mnie szczęśliwa gwiazda na letni wywiódła spoczynek.

Złoty Potok wart wyjątkowych zachwyty i opisów. Miejscowość pamięcią Zygmunta Krasińskiego owiana, ze wszechmiar godna być siedzibą poety, jak wraz daje ramy i tło gotowe dla natchnień umysłu i wyobraźni. Wśród znanych i opisywanych najcenniejszej okolicy kraju naszego, niełatwo znaleźć piękniejszą nad to ustronne zacisze, na południo-wschód Częstochowy, blisko stacyi Myszków lub Kłomnice przy drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Szlak ten kolejowy przecina pozbawioną wszelkiej malowniczości pla-

szczyzną i domyślić się, zaiste, trudno ukrytych opodał, za morzem piasku i murem granitu zakłętych cudów przyrody. W krainę czarów niedostępną tylko wkroczyć można bramą.

Wszystkie dawne baśnie o pokonanych przez byłych rycerzy trudnościach, przypominają się tutaj, który, opuściwszy wielki szlak cywilizacyjny, puszcza się od Myszkowa wózkami żydowskim czy chłopskim. Bezbrzeżna pustynia piaskowa, istna Sahara, otacza wieś ze złowrogą nazwą „Czarochową“, może w przeciwstawieniu do niedalekiej Częstochowy. W oddali, za białym pasmem kończącej się wydmy, nagle widnieje chaos skał, zrębów, łamów, zwałonych murów, niby ruin przedpotopowego zamczyska czy miasta. Im bliżej dojeżdżasz, tem posępniejszy rozwija się krajobraz. Tu, na straży zakłętej doliny, rzekłbyś bożyszcza kamienne, bezkształtne czuwa Swiatowid; tam przysiąkłbyś, że obronny zamek wystawia swe kolubryny przeciw śmiałkowi, który się odważy za tą warowną przestąpić linią. Niedostraszony ponurym krajobrazem, puszczasz się na naprzód i po chwili znajdujesz się wśród lasów, których olbrzymi kompleks ciągnie się daleko i szeroko, przerywany coraz-to innemi zjawiskami przyrody. I tak, zaraz u wstępu, u stóp starego zamku, istotnie niegdyś ludzką ręką wzniesionego wśród głazów, dziś zespolonych ze zwałoną budową, płynie źródło niestale, uśpione przez lat kilka, aby peryodycznie wracać i z niezwykłą tryskać obfitością.

Ale już znajdujemy się w granicach Złotego Potoku. Choćbyśmy o tem nie wiedzieli, objaśniłby nas herb Krasińskich „Ślepowron“, wykuty w skale piętrzącej się nad drogą. Droga ta, wijąca się wśród najpiękniejszego bukowego lasu, nagle skręca w rozwartą dolinę, nad strumieniem przepływającym z jednego stawu w drugi. Nad jednym z nich, może najpiękniejszym, ubarwionym szmaragdowo, który nie przeszkadza oku sięgnąć aż na samo dno i śledzić żartkich ruchów pstrągów, uwijających się krociami w tych wodach, nad jednym z tych malowniczych stawów, w najcudowniejszym położeniu, widnieją domki dla „letników“, niedawno zbudowane i urządzone — schludne, wygodne i miłe; łączą one komfort z estetyką, a sąsiedztwo łazienki nadaje im charakter osady klimatyczno-leczniczej.

Cisza tu niewypowiedziana; rzekłbyś: świątynia bóstw leśnych. Wśród tajemniczych załomów światła i słońca przez zwarte buków konary, nieraz przysiągłbyś, że lotna ci się mignęła Dryada. Ale nie tu ich siedziba, tu chyba zajasno i zawesoło, a las, choć stary, jeszcze zamłody dla mytologicznych przypomnień.

Na to trzeba dalej się zagłębić, aż w stronę sławnych w tych stronach „drzew“, jodeł samotnic, sierót po znikniętych rówieśnikach leśnych, które starczą zdaleka, jak Perepiat i Perepiatycha, górując nad całą okolicą.

Bodaj widzieć gdzieindziej w naszym kraju parę równie majestatyczną i sędziwą. To też z pewnym skupieniem zbliża się wędrowiec do tych patryarchów kniei potockiej, smukłych jak filary jakiej olbrzymiej bazyliki, a hartownych, jak czasy, wśród których wyrosły. Miłośnicy drzew i lasów istnej tu zażywają rozkoszy, ginąc w labiryncie dróg i ścieżek wiodących przez bory nieprzebyte od jednej tych stron ciekawości ku drugiej. Tu portyk skalisty, obrośnięty bluszczem, przez fantastyczność swoje zasłużył sobie na miano „Bramy Twardowskiego“; tam przerzucone z jednej na drugą kładki w pełni sprawdzają przyznane im miano „Czartowskich mostów“.

Najczęstszym atoli celem wędrowek zamieszkałych tu czy przejezdnych letnich gości, to Źródła Zygmunta, noszące imię autora „Irydiona“. W tajemniczym zakątku leśnym, najróżniejszymi szczylinami biją wody czyste i obfite, zlewające się w ten Złoty Potok, który nadaje swym wybrzeżom tyle malowniczości. Szum tu niesłychany, rzekłbyś: apokaliptyczny „głos wielu wód“; warty się coś i gotuje w łonie ziemi, bucha gwałtownie, wyrzuca z wnętrza nadmiar fali zasilającej cały systemat nawodnienia doliny. Śliczne to miejsce usposabia do marzeń, do rozmowy z duchami wód i lasów, i z temi też ludzkimi duchami, które tu niegdyś błąkały się i cierpiały. A więc

w pierwszym rzędzie wyłania się z toni Irydion, Orcio, Syn cieniów, Cezara, Młodzieniec z Nocy letniej i z *Niedokończonych poematu*. A wszystkie te postacie takie blade i smutne, jak smutnym tu bywał ich twórca, zrażony do Potoka ojcowską żalobą i poniesioną tu stratą pięcioletniej córeczki, złożonej przez bolejących rodziców przy kościółku parafialnym. Napis grobowy, ułożony w prawdziwie Zyguntowskiemu stylu, nie w pojęciu mowy odrodzenia, lecz właściwego autorowi *Psalmów* nastroju, opiewa przymioty dziecka i rodzicielską żalobę.

Dwa kościoły z wysmukłymi sygnaturkami biegleją wśród zieleni po dwóch krańcach szeroko rozbudowanej osady, stykającej się z miasteczkiem Janowem wsi potockiej. I w jednym i w drugim odprawia się nabożeństwo niedzielne, ściągając jaskrawo przybrane tłumy wieśniaków w tę lub ową stronę. Ozdobą kościoła w Złotym Potoku jest bardzo piękny ołtarz, świeżo za staraniem i hojnością obecnych właścicieli, hr. hr. Raczyńskich, wyrestaurowany przez warszawskich złotników. Do Janowa zaś niedawno przybył w jednym z ołtarzy obraz Najświętszej Panny Różańcowej, pędzla artysty malarza p. Józefa Brodowskiego, który tu co lato na wypoczynek powraca, i coraz-to inny zakątek malowniczej okolicy na płótno przenosi, podszuwając swoje krowki tłem zaczerpniętym z miejscowego krajobrazu. Nie on jeden stanowi letnią Złotego Potoku kolonią. Domki nad stawami bywają zawsze wcześniej zamawiane. Przeszłego roku bawił tu z rodziną professor A. Wrześniowski.

Bieżącego lata musiano aż nawet zaimprovizować mieszkania w oficynach pałacowych, aby sprostać licznym żądaniom przybywających z różnych stron gości. I rzeczywiście, nie dziwić się ich wyborowi; owszem, liczniejszych jeszcze letników ta uroczą miejscowość ściągać-by powinna. Pod względem powietrza, Potok nie ustępuje Zakopanemu, i lekarze warszawscy poważnie prze-myśliwają nad założeniem w tych lasach stacyi klimatycznej. Niema tu wprawdzie kassyna ani orkiestry, ale zresztą znajdują się wszystkie warunki miłego, jakoby u wód, wczasu, i o wyżywieniu się również troskać się nie potrzeba. Blizkie miasteczka Źarki i Janów dostarczają mięsa, włościowanie — nabiału, ogrody potockie — warzywa i owoców. Są w lasach tutejszych i ryby i grzyby, — a jakie ryby, jakie grzyby! Dość wspomnieć, że między pierwszemi rej wodzą pstrągi, a wśród drugich o trufle nie trudno i to bardzo wonne, nie ustępujące prawie francuzkim z Périgord.

Bez kłopotów paszportowych, bez straty na zmianie pieniędzy, można tu cicho, mile spędzić lato, urozmaicone łatwymi wycieczkami po okolicy, obfitującej w miejscowości godne nawet dalszych pielgrzymek. Archeolog znajdzie tu opodał ruiny Olsztyna, Smolenia, Ogrodzieńca; pobożny pątnik — sławne w Częstochowie, Gidlach i Przyrowie świątynie; wielbiciel Sienkiewicza, — poszczególnie miejscowości, które sędzi Kmicic, lub rajtaryja szwedzka; geolog — niewyczerpaną kopalnią skamieniałości i zagadkowych formacyi, a nareszcie i wybiegające poza miasto panie, obok rozkoszy wiejskiego pobytu — otwarte pole do przysposobienia na zimę mnóstwa konserw i zapasów wedle przepisów nieoszacowanej spółpracownicy *Bluszczu*. Leśne poziomki i maliny, żórawiny i brusnice właściwy tu sobie miewają smak i wonność, a zważywszy na wysokie położenie i różnorodność słonecznej wystawy, nierównie dłużej trwają, aniżeli gdzieindziej.

Po ucieszeniu się powszednich trosk i dłuższej przerwie w powszednich trudach, po upojeniu się starami przyrody i zachwyceniu pięknnością dzieł Twórcy, nie chce się wracać do potocznego życia, i dalej ciężką nieraz tączką pchać naprzód, jak dawniej. Trudno się wyprządnąć z jarzma obowiązków codziennych, trudniej do niego wracać i nowo się wpręgać, zwłaszcza, gdy u wstępu same witają smutki i biedy.

Gdy się straciło na parę miesięcy z oczu własne strony, za powrotem przedewszystkiem uszczerbki biją w oczy. I znów zagony kolonizacji się rozszerzyły, i znów niezastąpione próżnie się w naszych otworzyły szeregach. Dwa mianowicie skony cięższą żalobą okryły nasze społeczeństwo.

11) Ówczesnie pod L. or. 22. dzisiaj kamienice niegdyś Wielowiejskich zajmują realności pod L. 206. 238. 260 i 16. (Pryp. A.)

W Sierpniu umarł pułkownik Ignacy Zakrzewski, a w ostatnich dniach professor Jan Rymarkiewicz. Pierwszy całą młodość i wiek męzki strawił w służbie wojskowej. Karność żołnierska, w połączeniu z osobistą sumienną pracowitością, ukształtowała charakter dzielnego szermierza, który ostatni życia okres poświęcił sprawie publicznej i historycznym badaniom. Otoczony ogólnym szacunkiem, piastował przez pewien czas godność prezesa koła poselskiego w Berlinie. Nie miał sobie równego pod względem biegłości w odczytywaniu starych dokumentów. Zdolność tę użytkował, stawając na czele wydawnictw tej miary co *Kodex wielkopolski* lub *Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque cruciferorum*. Napisał też studjum o przyłączeniu wschodniego Pomorza i następnem onego oderwaniu, oraz mnóstwo cennych rozpraw, a z nich znaczną część odczytywał na zebraniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego najczynniejszym był członkiem.

Professor Jan Rymarkiewicz był nauczycielem i przewodnikiem kilku ostatnich pokoleń naszej dzielnicy. Stanowił najwyższą powagę przy starodawnej szkole jezuickiej, na gymnazyum S-tej Maryi Magdaleny przekształconej, a choć nigdy nie był jej dyrektorem, faktycznie, z tytułem inspektora i pierwszego nauczyciela, kierował całą instytucją, jedując sobie rzetelną miłość w kołach młodzieży i uczniów. Wszelkoniemnie wykształcony, s.p. Rymarkiewicz przedewszystkiem był miłośnikiem literatury ojczystej. Prawie do końca długoletniej sędziwości poznawał, badał, objaśniał zabytki naszego języka i piśmiennictwa. Studya jego nad pieśnią S-go Wojciecha rozpały polemikę filologiczną ciekawej i doniosłej treści. Szczegóły o kotebce i domu Jana Kochanowskiego, skrzętnie zebrane przez wierne go czciela czarnoleskiego psalmisty, spłotyły się w barwną równiankę. Najbardziej atoli przysłużył się s.p. Rymarkiewicz sprawie piśmiennictwa ojczystego doborem znakomitych wzorów prozy, który w szkołach i domach stał się podręcznikiem wykształcenia młodzieży, osuwając ją z najlepszymi pomnikami mowy i wymowy ojców. Wspomniana instytucja Pomocy Naukowej straciła w s.p. Rymarkiewiczu światłego i pełnego powagi prezesa; Towarzystwo Przyjaciół Nauk, — czynnego członka, a społeczeństwo wielkopolskie — zacnego i zasłużonego męża, który dobrym przykładem i cnotą całym przyswiecał pokoleniom. Pogrzyb jego uwydatnił, iż obowiązek zaciągnięte przez nasze obywatelstwo wobec swego długoletniego kierownika i nauczyciela, i ogólną dla niego wdzięczność, ów przymiot dający zarazem, i miarę zasługi nieboszczyka, i miarę wartości pozostałych.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk już się ożywiło zimowym ruchem. W tej chwili rozstrzyga się w jego łonie konkurs na temat polskich pieśni, używanych w Kościołach Katolickich od najdawniejszych czasów aż po wiek XVI. Do roztrząśnienia i ocenienia trzech monografii w tym przedmiocie nadesłanych wybrano komisją, złożoną z d-ra Łebskiego, d-ra Erzepkiego i profesora wszechnicy wrocławskiej Nehringa. Ten ostatni napisał świeżo obszerny życiorys Karola Libelta do lipskiej encyklopedyi Grubera, oceniając głównie literackie prace i filozoficzny kierunek zmarłego w wr. 1875 filozofa i estetyka.

Wbrew zapowiedziom pokoju, głoszonym na rynkach międzynarodowej i europejskiej polityki, zblizka tutaj patrzeć musimy na ciągle zbrojenie się i przysposabianie do czegoś, co pokojowi jest biegunowo przeciwnem. Wszędzie podwajają załogi, a wraz i nowe powstają koszary, — żeby tylko wspomnieć projektowane lub budujące się już w naszej dzielnicy gmachy koszarowe w Olsztynku, Gąbinie, Wystruciu, Gnieźnie, Stołupianach, Poznaniu, Gdańsku, Grudziądzu, Ostrudzie, Toruniu, Inowrocławiu i t. d. Powstają piekarnie i lodownie wojskowe, fabryki konserw, lazarety, place mustry. Wszystko pochłania militarystyczny zwyczajki, przewodnie tętno zarażonej barbarzyństwem epoki. Gniezno przekształca się w posterunek wysunięty germanizmu, w przednie czaty ku Wschodowi skierowane. Dawna Piastów stolica dziś, okrom katedry i grobu S-go Wojciecha,

mało polskich zachowuje pamiątek. Wszystko niknie pod nawałą i naciskiem germańskiej kultury, która się głównie przejawia w budowach i przedsięwzięciach wojskowych, jakgdyby karabin najnowszej kalibru i dział Kruppa ostatecznie były wykwiem cywilizacji.

Tymczasem w naszej katedrze podawnemu rozbrzmiewa codziennie hymn, z którym niegdyś przodkowie nasi uderzali na Krzyżaków, a starożytna melodya pieśni bojowej przechowuje się tu niby w arce przymierza między dawnymi a nowymi laty.

Przed kilkoma tygodniami przybyli tu dwaj poważni obywatele z Kielc, celem uproszenia i otrzymania relikwii S. Wojciecha dla nowo wybudowanego w Kielcach kościoła, co też po porozumieniu się z arcy-biskupem poznańsko-gnieźnieńskim, nastąpiło bezzwłocznie, pod pieczęcią miejscowego ordynaryatu. Już przed trzydziestu mniej więcej laty ks. Arcybiskup Przyłuski tak samo udzielił relikwii S. Wojciecha dla katedry pięciokościeliskiej (Fünfkirchen) na Węgrzech, a dopominanie się ich w Gnieźnie przez różne dyecezye stwierdza autentyczność złożonych tu przez Bolesława Chrobrego szczątków, wbrew świeżym zapędom Czechów, którzy sobie roszczą pretensje do posiadania w Pradze ciała zamordowanego przez Prusaków apostoła.

Otwarcie duchownego seminarium w Poznaniu nareszcie nastąpiło po długich układach i zwłokach. W skład profesorów weszli niemal sami Niemcy. Liczba kandydatów do stanu duchownego od razu wystąpiła nader pokaźnie (z górą 60), zapowiadając wypełnienie znacznych szczeb rządowych przez szesnastoletnie wybryki niszczącego „kulturkampfu“.

Wbrew przewidywaniom rolników, skłonnych do wyrzekania na losy swoje, nieurodzaj nie jest tak powszechnym, ani doniosłym, jak się tego można było obawiać. Jarzyny wynagrodziły w części wypalenie się ozimin, a obfitość okopowizn zapowiada świetną kampanią licznym cukrowniom i mączkarniom księstwa. Ceny też się podniosły znacznie wskutek przeprowadzonych systematycznie ceł ochronnych. Polityka ks. Bismarcka snadź korzystniej wpływa na handlowe, aniżeli na moralno-społeczne stosunki kraju, jego żelazną ręką rządzonych.

Miasto nasze technie jeszcze letniem ucieszeniem; teatr jednak powrócił już i rozpoczął nowościami seryjną zimowych przedstawień. Przejedni artyści rozporaz darzą nas koncertem, niemieckie zaś towarzystwo naukowe uprosiło sobie do wygłoszenia odczytu sędziwego profesora Roepella, który obiecał mieć wykład o pierwszym podziale Polski.

RUCH MUZYCZNY.

Czytelnicy nasi, miłośnicy wszystkiego, co piękne, podniosłe, artystyczne, nie mogą ostatniemi czasy narzekać na brak miłych wrażeń, albowiem sezon muzyczny w całej pełni wrażeń takich dostarcza. Oto zjechała do nas Lucca, gwiazda europejska, a w operze, rozbrzmiewa głos Littty, młodziutkiej, lecz bardzo sympatycznej i obiecującej śpiewaczki; oprócz tego mieliśmy wirtuozów takich, jak pan Dreyschock a zwłaszcza jak p. Ondrzczyk, który grą swoją wskazał nam ostatnie krańce techniki, do jakiej skrzypek dojść może. Wobec tylu różnorodnych wrażeń rola sprawozdawcy, chłodna i obiektywna, trudna jest niezmiernie; musi on nieraz wypowiadać zdania działające jak zimna woda na rozgrzane serca, lub przeciwnie, pobudzać do żywszych drgań te struny uczuć, które pozostały obojętnymi na piękno, żądające, nie jednochwilowych porywów, lecz zastanowienia i zgłębienia. Cóż robić jednak! Musimy iść swoim wytkniętym torem, ufając i tak, że czytelnicy nasi, za nami podążą.

Zacniemy od opery i od panny Elizy Littta. Wróciwszy z jej pierwszego występu w roli Małgorzaty w „Faustcie“, mimowoli, przypo-

mnieliśmy sobie słowa mistrza Rossiniego, który, zapytywany: czego potrzeba ażeby być dobrym śpiewakiem?—odpowiadał, iż potrzeba mieć dobry głos, piękny głos, dźwięczny głos! Jeżeli Rossini miał słusność, to panna Littta może sobie pozwolić tego daru natury, który ją w przybytek sztuki wprowadza. Metaliczne brzmienie, obszerna skala, wrodzona giętkość jej głosu, jedując sobie ogólny zachwyt; obok tego czaruje artystka wdzięczną postawą i swobodą ruchów na scenie; ale, niestety—gdzieżby nie było *ale!*—wymaganiami artystyczne są teraz inne, wyrafinowane, subtelniejsze, nawet w naszym zacofanym kraju; dla tego po pierwszym entuzjazmie przychodzi reflexya i w odmienny już sąd wrażenia krystalizuje. Od czasów Rossiniego ponad szkołą włoską, gdzie piękny głos naturalnie płynie w szerokiej i łatwej kantylenie, stanęła szkoła francuzka i niemiecka, w których szlachetny styl, akcent, właściwa expressya, stanowią niezbędne czynniki. Oprócz tego, muzyka operowa, idąca teraz koniecznie w parze z librettem, przybiera charakter już-to liryczny, już-to dramatyczny, i w odmiennych tych kierunkach odmiennie też pracy wymaga. Panna Littta z wymagań tych jeszcze sobie sprawy nie zdaje, czego dowodem jej wszechstronny repertoar (Faust, Violetta, Hugonoci) tak wcześniej uprawiany, bez skończonych, sumiennych studyów,—słowem: bez innych danych, oprócz naturalnego przyrodzenia daru.

Jeśli kto kiedykolwiek powątpiewał o zdobyciach pracy w dziedzinie sztuki, o pracy, której prawdziwy talent oddaje się z przejęciem i namaszczeniem, ten niezawodnie powątpiewania swe odrzucił, usłyszawszy Śpiew p. Pauliny Lucca. Publiczność nasza, niechętna, że sławna śpiewaczka dopiero obecnie raczyła nawiedzić Warszawę, na występ Lucci zebrała się tłumnie, lecz w usposobieniu pesymistycznym. *Tempi passati*, szeptano tu i owdzie; my jednak, nazwawszy już raz Luccę gwiazdą europejską nie cofniemy tego orzeczenia. Jest to rzeczywiście gwiazda, która o zachodzie swoim tak jeszcze potężnie i wspaniale rzuca promienie, iż niejeden znawca melomana mógłby niemi rozgrzać swe chłodnawe poczucia estetyczne i rozjaśnić swe horyzonty. Głos p. Lucca, naturalnie, już wiośnianej świeżości nie posiada, lecz zawsze jeszcze piękny, głos ten, przyswoił sobie nieocenione skarby z dziedziny artyzmu. Techniczne trudności nie istnieją dla tej śpiewaczki, ducha zaś kompozytor odczuwa ona wybornie. A cóż nas wiąże głównie z ideami genialnych autorów, jeśli nie doskonała i szlachetna ich dzieł interpretacya?

Codzień prawie słyszymy koncertowych śpiewaków, którzy lekceważą text poetyczny, to źródło, z kąd artysta muzyk zaczerpnął natchnienie; śpiewacy ci, nie zgłębiając słów poety, tem mniej pojmują ilustrującą je muzykę; niechby zatem wsłuchali się w wykonanie przez p. Lucca np. takiego „Króla Olch“, gdzie tyle stopni przerożnych uczuć dźwiękiem słów i tonów przemawia, a każdy dźwięk znajduje odpowiedni akcent i expressyą w głosie artystki. Poznawszy tę artystkę, żałujemy, że stało się to tak późno, lecz, zamiast poprzestać na daremnem ubolewaniu, powiedzmy sobie, że w każdym razie lepiej późno niż nigdy, albowiem występ jej przyniósł niemało korzyści, zarówno uczniom, jak i pedagogom w kierunku śpiewu.

Złożywszy p. Lucca należne uznanie, wracamy do sceny opery naszej, gdzie oprócz panny Littta występują obecnie pp. Maine i Wulman. Śpiewacy ci na pierwszy swój występ wybrali „Fausta“, operę jedną z najznakomitszych dla popisu głosów i subtelnych odcieni akcyi; nie jednakowo się jednak tym panom powiodło. P. Maine, tenor, nie wykazał w swym głosie ani siły, ani szlachetnego modulowania, ani zapafu, który płynąć powinien z duszy artysty, — ruchy zaś bez wdzięku, chód skrepowany, przyczyniły się niemało do obudzenia w nas wrażeń ujemnych. P. Wulman, przeciwnie, oddał swą rolę Mefistofelesa wyśmienicie. Emissya głosu może jest nieco za ciężka, przez to niektóre tony brzmią głucho, ale były momenta, mianowicie w akcie II-im i IV-tym, niepozostawiające nic do zyczenia pod względem expressyi i rozwoju śpiewu; co do akcyi, p. Wulman po-

siada wszystkie jej zalety, umie wnikać w postać, którą przedstawia, i śmiało rzec możemy, iż był doskonałym Mefistem.

W dniu czwartym bieżącego miesiąca z estrady koncertowej Sal Redutowych przemówili do nas językiem bogów nasi swojsey artyści pp. Schlözer i Michałowski (fortepian), p. Barcewicz (skrzypce), p. Alois (wiolonczela), p. Jeromin i panna Pinkiertówna (śpiew); część zaś deklamacyjną objęły panny: Noiret i Wisnowska. Sympatyczny cel koncertu uczynił wykonawców, jeśli to być może, jeszcze sympatyczniejszymi, niż są zazwyczaj, i ściągnął liczne grono tych słuchaczy, co szlachetnie lubią łącząc użyteczne z przyjemnym. Najpierw rozbrzmiała wzniosła kompozycja Schumann: Waryacje na dwa fortepiany, którą pp. Schlözer i Michałowski z całym swym artystycznym kunsztem oddali. Panna Pinkiertówna w ary z „Cyrulika Sewilskiego“ wykazała znaczną technikę głosu; nie jej wina, że ją przyroda obdarzyła tonem zbyt cienkim, ostrym i przenikliwym. Nieczuły na liczne oklaski i przywoływania, p. Barcewicz wyśpiewał na czarodziejskich swych skrzypcach tylko niewielki utwór p. Alois'a; kompozycyji tej można zarzucić monotonią i ociężałość, które to wady rozwiewają wrażenie, jakie czyni sama melodia, ładna i w poprawnym stylu trzymająca. Jako wykonawca, p. Alois dał popis swej niepospolitej techniki w owym nieznośnym, przeładowanym fioryturami „Souvenir de Spa“ Servais'go. Jest to *genre*, od któregośmy zbyt już odwykli, i oby gust publiczności nigdy na takich *genre*'ach się nie kształcił! W końcu, trudno nie zaznaczyć, że p. Jeromin posiada głos basowy o brzmieniu silnym, szlachetnym, że śpiew traktuje poważnie, jak tego charakter głosu wymaga. Z takimi zalety, dziwimy się iż nie wszedł stale w skład niebogatej naszej opery. — Pochlebny sąd nasz o p. Jerominie utrwalił się jeszcze bardziej na przedostatnim wieczorze Towarzystwa Muzycznego, gdzie piękny głos i szczerze, nieprzesadne uczucie uwydatniły się zwłaszcza w „Czatach“ Moniuszki i w ślicznej pieśni Noskowskiego „Stach“.

Przedmiotem ciekawości był owego wieczoru, młody skrzypek przybyły z Paryża, p. Mikołaj Siccard. Jest to wirtuoz noszący na sobie piętno nie zbyt dawno ukończonych studyów; nie posiada on śmiałego zacięcia smyczka, skończonyj artystycznej brawury; natomiast z sumienną dokładnością oddaje każde dzieło, a szczegóły wypieszcza z elegancją i dobrym smakiem francuzkim. Najlepiej wykonał Allegro z koncertu E *dur*, Vieuxtemps'a, w którym mógł śpiewność tonu uwydatnić przy znacznej technice. Mniej dzielnie oddał „Pieśni cygańskie“ Sarassatego, utwór, którym sam autor porównał jako wykonawca, wlewając weń swą południową ognistą werwę.

Z utworów wokalnych poznaliśmy na tym również wieczorze dwie pieśni E. Pankiewicza, marzycielskie, poetyczne, opracowane jednak z tą reflexją, która nadaje myśli szatę niezwykłą; przeciwny słuchacz nie odrazu da się owładnąć tego rodzaju stylem, jak to nieraz przekonaliśmy się na pieśniach Żeleńskiego które nazywano filozoficznymi. — Wykonane dwie pieśni E. Pankiewicza: „Idę i wracam“ i „Ze snu“ — aczkolwiek umiejętnie napisane, nie wywołały też efektu.

Juliusz Stattler.

LIST Z NIEMIEC.

Październik 1889.

Przedwczesna jesień. — Pogoda a Niemcy. — Zdrowa dusza w zdrowym ciele. — Dzieci niemieckie. — Opieka nad dziećmi. — Kolonie letnie. — Uroczystość dla dzieci. — Legioniści francuzcy i koloniści niemieccy. — Dziecko robotnika i cesarzowa. — Opieka nad kobietami. — Stanowisko rządu wobec emancypacji kobiet. — Wyższe zakłady naukowe żeńskie. — Wychowanie kobiet. — Wykształcenie praktyczne kobiet. — Kursa realne dla kobiet. — Ciekawa broszurka. — Kobiety i socjalizm. — „Haushaltungsschulen“. — Szczyt optymizmu.

Sezon letni skończył się już dawno i prędej, aniżeli by nie jeden biedak sobie życzył; prawie rap-

townie nastąpiła jesień, smutna, ponura, dżdżysta i zimna, o tyle chyba od zimy prawdziwej się różniąc, że sanny jeszcze niema, i że, co dziwnie uderza nieprzyzwyczajone do tego oko, obok usłanych żółtym liściem ścieżek wszędzie jeszcze w ogrodach i parkach publicznych widać w najpiękniejszą zieleń strojne trawniki i gazony.

Zarzucie mi może, że rozprawianie o pogodzie jest zbyt banalnym wstępem do listu; ale jakże tu mówić o czem innem, jakże nie sarkać na pogodę, kiedy się od dwóch tygodni nie widziało słońca, a za oknem słyży monotony plusk deszczu; jak nie sarkać, kiedy wilgoć, w dobrze opatrzonym nawet pokoju, do szpiku kości przejmuję? Lecz najdziwniejsza, że taka pogoda nie dotęga Niemcom ani trochę. Znaną jest bajeczka o Niemcu, podczas mrozu w ręce chuchającym, a jednak zapewniającym wszystkich, że mu „sehr heiss“. Uważałam to zawsze za przesadę, ale teraz kiedy mnie losy zmusiły do przebywania między nimi, przekonywam się, że im doprawdy bardzo „heiss“. Jeśli widzimy grubego Niemca z okrągłą, jak księżyc w pełni, twarzą, to łatwo się domyślić, dlaczego mu „heiss“; fijołkowy nos jego dostarcza nam rozwiązania tej zagadki. Ale, jeśli przy pięciu stopniach ciepła i przy doprowadzającym do rozpacy „kapuśniaczku“, spotykamy młodą damę, której estetyczna i delikatna postać dowodzi, że osobka ta do wygod, do komfortu i ciepłego budoaru jest przyzwyczajoną, i jeśli dama ta, nietylko ciepłego okrycia, ale nawet kalesony nie nosi, a pomimo to z każdego ruchu jej, z każdego słowa wnioskować można, że rzeczywiście nie odczuwa surowości pogody, albo jeśli przed moim oknem, przy tejże temperaturze, w chwili jednak kiedy deszcz cokolwiek ustał, widzę igrające dzieciaczki, w cieniuteńkich sukienkach z nagiemi ramionami, a na świeżych, zdrowych i dobrze odżywianych twarzyczkach ich nie widać najmniejszego wpływu zimna — wtedy zaczynam pojmować, że owemu niemieczykowi z bajeczki rzeczywiście nie było zimno, i że nie śmiać się z niego, lecz podziwiać go trzeba. Z twardego bo też żelaza kuci są ci panowie Niemcy i jeśli gdzie, to tutaj, zdanie o zdrowej duszy w zdrowym ciele nie jest czczym frazesem. Nie mogą się rozwodzić nad tem, jakimi sposobami doszli Niemcy do tego hartu ciała, a poniekąd — choć niechętnie to przyznają — i duszy, bo nie chcą nadużyć waszej cierpliwości, rozwodząc się nad sprawami, niewchodzącymi w zakres niniejszego listu.

Malcy z różowemi pyzatami buziami, którzy, nie zważając na słońce i zimno, wyprawiają harce pod moim oknem, nie bez przyczyny mają taki zdrowy i czerstwy wygląd, bo, jeśli rodzice ich nie posiadają ani odpowiedniej inteligencji, ani zasobów materyalnych, ażeby im zapewnić racjonalne wychowanie moralne i fizyczne, któreby ich zahartowało do cięższej tu, aniżeli gdzieindziej, walki o byt, — trudne to zadanie po części biorą na siebie ludzie dobrej woli, a poczęści i samo państwo. Co robi rząd, ażeby te dzieci proletaryszów uratować od śmierci moralnej, grożącej im w otoczeniu, w którym się urodzili, o tem nieraz jeszcze w korespondencyach moich będę miała sposobność pomówić, tego zaś, czego ludzie dobrej woli zjednoczonemi siłami dokonywają, ażeby przyszlých obywateli „Vaterlandu“ choć pod względem fizycznym podnieść według możliwości i z delikatnych, wiotkich postaci tych, wyrobić dobre matki i krzepkich mężów, zdolnych w miarę możliwości przyczynić się do podniesienia dobrobytu kraju, — tego małeńką próbkę dostarczają nam tak zwane „Kolonie letnie“.

Wielkie znaczenie instytucyji tej dla społeczeństwa uznano i w innych krajach. U nas, naprzykład, gdzie w ostatnich czasach dbałość o dobro ogółu pomyślnie rozwijać się zaczyna, dzięki inicjatywie szlachetnych jednostek i sprawa kolonii letnich wielkie zrobiła postępy; ale wobec ogólnego ubóstwa krajowego datki na szlachetny cel ten nie wpływają tak obficie, jak u innych narodów, w szczególniejszych warunkach żyjących, aniżeli my. Nie mam przed sobą szczegółowych dat, dotyczących się rozwoju tutejszych kolonii letnich to tylko wiem, że pod względem organizacyi sama Szwajcaryja, kolebka kolonii letnich, pozostała w tyle poza Niemcami, a specjalnie poza Ber-

linem. Przyznają to sami Szwajcarzy. Środki, jakimi rozporządza tutejszy komitet kolonii letnich, są bardzo obfite; dawniej wysyłano ztąd dzieci do lasów, w góry, nad morze, na łaskę ludzi dobrej woli, którzy przez parę tygodni dawali maleństwu do dobrego serca przytułek i pożywienie, nie otrzymując za to żadnego, albo tylko nieznaczne bardzo wynagrodzenie z istniejących na ten cel, a szczupłych bardzo, funduszów. Dziś fundusze komitetu są tak znaczne, że w wyjątkowych tylko razach wysyłają dzieci do znanych z dobroczynności osób, na pobyt gratisowy, po większej zaś części komitet tysiące i setki tysięcy wydatkuje na utrzymywanie dzieci zdala od miasta. Pomimo znanej swej oszczędności, Niemiec na cele takie nie skąpi grosza, w przeciwnym bowiem razie, kolonie letnie nie stanęłyby tu na tej wysokości, na której je dziś widzimy. Ale i tego mało. Ażeby powiększyć swe dochody, komitet kolonii letnich urządził niedawno uroczystość dla dzieci, która wszystkim obecnym, dzieciom i dorosłym na długo chyba pozostanie w pamięci.

W jednej z największych sal koncertowych, w Filharmonii, zebrała się śmietanka towarzystwa berlińskiego. W loży cesarskiej zajęła miejsce cesarzowa Wiktoryja, wdowa po cesarzu Fryderyku III i protektorka kolonii letnich, z córkami w żałobnych szatach. Na dany znak rozwarły się podwoje sali, do której weszły zebrane w przedśionku dzieci. Najpierw szli chłopcy, po czterech w jednym rzędzie, a przed każdą sekcją powiewała biała z czerwonym krzyżem chorągiew, na której widniała nazwa kolonii. Chorągiew niósł zawsze najstarszy chłopiec każdej sekcji, dumny z honoru, jaki go spotkał. Obok nich postępowała naczelnicy sekcyjni. Za nimi szły dziewczynki w strojach odświętnych, skromnych, niekiedy nawet wytartych, ale czysto, przyzwoicie, gładko uczesane i w białych fartuszkach. Wiele dzieci bało się zostawić w przedśionku wierzchniego swego ubrania, weszły więc do sali w paltocikach i z parasolami, co bardzo komicznie przedstawiało widok, gdyż niektóre nie owiele większe były od parasoli, które miały w ręku. Wspaniały był widok, gdy bez końca nadpływały coraz-to nowe szeregów dzieci, aż nareszcie zebrała ich się w sali pokaźna liczba pięciu tysięcy. Piękna to armia! Francuzi od młodości ćwiczą swoich chłopców w praktykach żołnierskich, tworzą bataliony szkolne, etc., Niemcy zaś całe pułki i bataliony dzieci wysyłają na pola i łąki, do lasów, w góry i nad morze, każą im na słońcu wygrzewać się, aby dać młodym płucom, choć na krótki czas, sposobność do oddychania czystym, niezaputem wyziewami miejskimi powietrzem. Kto wie, czy systemat ten nie lepszy jest od francuzkiego.

W ogromnej, morzem światła zalanej sali, zabrzmiały organy, a dzieciarnia pod wodzą nauczycieli rozpoczęła defiladę przed gośćmi, którzy w liczbie trzech tysięcy zapełniali łozę, estradę koncertową i wszystkie galerye. Byli między nimi poważni i wysoko na szczeblu społecznym stojący mężowie, jak prezydent miasta, deputowani, ministrowie, uczeni i artyści, i wiele, wiele dam w toaletach balowych.

Nagle zamilkły organy, dzieci stanęły w miejscu, prezentując chorągwie przed cesarżową i na dany znak rozległa się z pięciu tysięcy gardziółków piękna, poważna jakaś melodia. Piękniejszy i bardziej artystycznie wykonany śpiew, nietylko ja, ale chyba każdy z obecnych już słyszał, lecz bardziej przejmującego wrażenia nie wywarła jeszcze na mnie żadna pieśń. Po tej nastąpiła inna, a potem z szeregu dzieci wyszła trzynastoletnia może, śliczna dziewczynka, z jasnym warkoczem i modremi oczami, z bukietem fiołków w ręku. Odważnie doszła do loży cesarskiej i pięknym dźwięcznym głosem zadeklamowała krótki, przez Fryderyka Mautnera napisany, wierszyk — rodzaj podziękowania za opiekowanie się dziećmi biednych wyrobników. Cesarzowa schyliła się i złożyła pocałunek na czole dziecka. Przytem w oku cesarzowej stanęły łzy: na widok ten i dziecko rozplakało się ze wzruszenia. I znów zabrzmiały organy i w tym samym porządku, w jakim weszły, dzieci opuściły salę, ażeby zasiąść przy długich stołach, rozstawio-

nych w bocznych salach. Przed każdym krzesłem stała na stole filiżanka, a obok niej dwa ogromne pączki, piernik i jabłuszko. Z kuchni zaś dochodził aromatyczny zapach czekolady, który się wkrótce rozszedł po wszystkich salach ogromnej Filharmonii. Skoro dzieci w porządku zajęły miejsca swe koło stołów, weszła do sali cesarzowa z córkami i w asystencji członków komitetu obszła stoły, często się zatrzymując, ażeby z dziećmi słów kilka pomówić.

Wkrótce po odejściu cesarzowej opuściły i dzieci Filharmonię, zabierając z sobą temat do opowiadań na długi, długi czas.

Po odejściu małców rozpoczął się dla dorosłych koncert, w którym brały udział najznakomitsze siły artystyczne. A tymczasem w sali, zarezerwowanej dla przedstawicieli prasy, inżynier Wangeman, asystent Edisona, pokazywał i objaśniał najnowszy cud elektro-techniki — fonograf. Bilet wejścia do tej sali kosztował trzy marki; w mgnieniu oka sprzedano ich pięćset, gdy zaś natłok stawał się coraz większym, podniesiono cenę do dziesięciu marek, a pomimo to handel szedł znakomicie.

W innej znów sali, w artystycznie udekorowanym namiocie, damy urządziły naprędce tombolę, aż nareszcie o późnej już godzinie znany humorysta Stetenheim wpadł na pomysł urządzenia licytacji swoich rysunków. Licytacja ta przyniosła okazałą sumę 6.000 marek. Ogółem z uroczystości tej zebrano 20.000 marek na korzyść kolonii letnich.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— **Stypendya** z zapisu ś. p. Fran. Kamińskiego dla niezamożnych studentów wyższych zakładów naukowych, rodem z Królestwa, katolików, z pierwszeństwem dla pochodzących z rodziny Kamińskich lub Bartkowskich — wakują. Zgłaszać się należy do p. Aleks. Wysockiego, naczelnika kancelaryi komitetu Ziemińskiego Towarzystwa Kredytowego. Wymagane są: metryka urodzenia, świadectwo niezamożności, świadectwo władzy uniwersyteckiej o uczęszczaniu na wykłady i o dobrem postępowaniu. Termin wnoszenia podań do 15 Listopada.

— **Zgromadzenie warsz. malarzy pokojowych**, obrawszy sobie za patrona Ś-go Łukasza, ufundowało w kościele po-Bernardyńskim ołtarz pod wezwaniem tego Świętego.

— **Rzeźba Brodzkiego**: „Madonna“ nabyta, przez Papieża, ukaże się wkrótce w salonie Towarzystwa Sztuk Pięknych.

— **Wileńskie Towarzystwo Dobroczynności** urządziło kilkanaście *tanich mieszkań*; liczba osób niezamożnych, pragnących korzystać z tej dobrze pomyślanej dobroczynności, jest bardzo znaczna i nie będzie można odpowiedzieć wszystkim

żądaniom. *Towarzystwo* istnieje od 1807; założone przez biskupa Kossowskiego, miało zakres działalności bardzo szeroki, dziś znacznie ograniczony. Obecnie utrzymuje 350 starców i kalek: mężczyzn 90, kobiet 260. Środki *Towarzystwa* są niemałe. W papierach procentowych posiada ono przeszło 100.000 rs. i dochód z procentów przynosi rocznie 6.000 rs.; wpisowe członków daje rocznie 2.000 rs., ofiary jednorazowe dosięgają 1.000 rs., obok tego wpływa tyle ze źródeł rozmaitych, że *Towarzystwo* liczyć może na 18.000 do 20.000 rs. dochodu rocznego. Najznaczniejszą posiadłością *Towarzystwa* jest gmach, zapisany mu ostatnią wolą ks. Dominika Radziwiłła w 1841 r., a w którym mieści się Przytułek starców i szpital. Akt zapisu nie jest jednak bezwarunkowym: spadkobiercy fundatora powinni go potwierdzać co lat 10, i gdyby w warunkach działalności *Towarzystwa* zaszła jakaś zmiana zasadnicza, obowiązani są zapis niezwłocznie cofnąć. Obecna reprezentantką testatora jest ks. Marya Hohenlohe, z domu Wittgensteinówna, wnuczka po córce ks. Dominika. *Towarzystwo* posiada obok tego 16.000 rs. z przeznaczeniem wskazanem mu przez ofiarodawców. Michał Grygo złożył w takisam sposób 10.000 rs. od których dochód powinien iść na wsparcie wdów i sierot po rzemieślnikach wileńskich, Br. Hryniewicz zaś 1.500 rs.,—a tu procenta przelewają się do kasy wileńskiej gminy żydowskiej.

— **Przyszła wystawa w Wilnie** ma być urządzona we Wrześniu 1891 r.

— **Od małuczkich** wyszedł w Poznańskim przykład dobry — nauka szlachetnego trzymania się na gruncie swoim. Wieś Łubowo w Gnieźnieńskim ma tę sławę smutnej pamięci, że była pierwszym kawałkiem ziemi, którą sprzedano Komisji Kolonizacyjnej. Jeden z gospodarzy włościan tej wsi nieszczęśliwej, Kacperski, został wtedy nagabany przez Niemca kolonistę, aby mu gospodarstwo swoje sprzedał, przyczem dawano po 200 talarów za morgę magdeburską, co przedstawia cenę niezmiernie wysoką i nawet przypuścić trzeba, że działała i tu komisja kolonizacyjna. Posiadłość Kacperskiego liczy 33 morgi, zatem byłby otrzymał za nią po cenie powyższej 6.600 talarów — fortuna dla człowieka w stanie kmiecim, on przecież odepchnął ją. A chciano następnie dostać za droższe jeszcze pieniądze choć trzy, cztery morgi, snadź pragnąc koniecznie, aby włościanin Niemiec dostał się do wsi, gdzie we dworze było już panowanie niemieckie, ale tu spotkano się z wytrwałością dostojniejszą: nie wytargowano nic na prawnuku piastowskim.

— **Kassa chorych robotników** została otwartą w Krakowie. Wpływ przecięciowy jest na tydzień 400 fl., ale potrzebowano już udzielić kilka wsparć.

— **Matejko** wykończył obraz: „Przyjęcie Żydów przez Władysława Hermana.“

— **Popiersie Pola** dłuta Lewandowskiego, ukazało się na krakowskiej Wystawie Sztuk Pięknych.

— **Tygodnik literacko-naukowy** ma powstać w Krakowie, wydawany wspólnymi siłami literatów krakowskich i lwowskich. Głównym re-

daktorem ma być Asnyk, co już dostatecznie objaśnia o kierunku.

— **W Szkole Artystycznego Przemysłu we Lwowie**, istniejącej przy tamtejszem Muzeum Przemysłowem, kształciło się w upłynionym roku szkolnym 245 uczniów i uczennic.

— **Świat Słowiański** — to tytuł dzieła, które ma wyjść w Paryżu nakładem księgarza Quantin. „Le Monde Slave“ ma przedstawiać obraz naukowego i literackiego ruchu wśród narodów słowiańskich.

— **Pomnik Gambetty**, wzniesiony świeżo w „Epineuse, ma historią swoją. Wzniesiono go na miejscu, gdzie ten śmiały i gorących uczuć człowiek spadł na ziemię z balonu, którym wypuścił się w powietrze z oblężonego Paryża, aby wezwać dla niego pomocy — sprowadzić odsiecz. Była to wyprawa zuchwale-bohaterska. W dniu 7 Października r. 1870, o godzinie 10 rano, wsiadł on do łódki balonu: „Armand Barbès“ z dwoma równie poświęconymi i gorącego serca towarzyszami, Spuller'em i Trichet'em, lecz zaraz poza murami Paryża okręt powietrzny został dostrzeżony przez Niemców i ci poczęli strzelać, na szczęście, bez skutku. Spuszczono się na ziemię w Chantilly, lecz nieprzyjacieli znajdował się w pobliżu i trzeba było spieszyć dalej. Zaraz też wzbili się podrózniczy wgórę, lecz i teraz polowano na nich pod Creil; kule niemieckie wzięły na cel balon, w którym się domyślano wysłańców z Paryża, jednak jeszcze i teraz zasłoniła ich Opatrzność, przecie o kilka kilometrów dalej, strzały niemieckie przedziurawiły balon.

„Barbès“ zniżył swój lot, ale zdołał się utrzymać w powietrzu, przebył rzekę, aż w Epineuse zahaczył się o wierzchołek dębu i uwiązał w nim na brzegu lasu. Na szczęście, dostrzegli to ludzie pracujący w polu, pośpieszyli z pomocą, dostarczili potem Gambecie konia, na którym puścił się do Amiens, gdzie tegosamego dnia, nie odpoczywając, zwołał radę, której celem był ratunek dla Paryża — odsiecz dla oblężonych. Dąb, który w tej wyprawie przyjął bohatera, ściał potem ze złości małodusznej właściciel gruntu, monarchista, ale naród wznosił na tem miejscu pomnik!

Epineuse leży w departamencie Oise. Przy odsłonięciu pomnika Spuller, obecnie minister spraw wewnętrznych, przemawiał. Skreślił dzieje wyprawy i uczuć Gambetty.

— **Posąg Nemezydy**. Na szczycie Wogezów u granicy dzielącej Francją od Niemiec, ma stanąć posąg bogini zemsty, Nemezis, obróconej obliczem w stronę Niemiec. Spiszowemi oczyma będzie on tam patrzeć w dzień i w nocy i będą go widzieć z jednej strony dzieci niemieckie, z drugiej, — dzieci francuzkie.

Do dzisiejszego numeru dołącza się **Cennik prania i reperacji firanek F. Bukowskiego i S-ki** (dawniej J. Penkala) przy ulicy Wierzbowej Nr 1 wprost Hotelu Angielskiego.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmid'a kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

TREŚĆ: Tytus Chałubiński (z drzeworytem) przez Dr. Józefa Starkmana. — **Słoneczne strony życia.** — Adjutant króla jegomości, opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kępiński. — **Korrespondencya zagraniczna** (Poznań). — **Ruch muzyczny**, przez Juliusza Stattlera. — **List z Niemiec.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall. — **Przegląd mód.** — 25 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 1 Ноября 1889 года.